

# ISKIERKI

## Bydgoskie

PISEMKO

MŁODZIEŻY

SZKOLNEJ

Nr 5

MARZEC

Rok 45/46





## WESTERPLATTE

Trzydziestego pierwszego marca 1945 roku komunikat wojenny głosił:

„Wojska 2 Frontu Białoruskiego zakończyły pogrom gdańskiej grupy Niemców i 30 marca szturmem zdobyły miasto i fortecę Gdańsk. Nad Gdańskiem łopocze sztandar Państwa Polskiego...“

W ten sposób miasto, które stało się iskrą, wzniciającą światową pożogę wojenną, oddane zostało Polsce w wieczyste władanie. W dniu tym myśli wszystkich Polaków zwróciły się ku piaskom wąskiego cypla przy ujściu Motławy, gdzie w niezapomnianych dniach wrześniowych 1939 r. bohaterzy żołnierze bronili do ostatka honoru polskiego sztandaru

Było ich dwustu. Skupieni na niewielkim kawałku ziemi, leżącej bezpośrednio przy wejściu z morza do kanału portowego w Gdańsku, od szeregu godzin odpierają gwałtowne ataki wielkiej przemocy niemieckiej. Napaść rozpoczęły ogłuszające salwy pancernika „Schleswig-Holstein“, oddalonego od dzielnych obrońców zaledwie o 400 metrów. Zieją straszliwym ogniem wszystkie działa nieprzyjacielskiego okrętu. Gwiżdże pociskami przecinane powietrze i śpiwnym łoskotem głosi pieśń zniszczenia. Wzbijają się w niebo fontanny rozdarłej wybuchami ziemi. Wala się w gruzach koszary. Giną roztrzaskane w huku pękających granatów wzniesione na prędcę barykady. Huraganowy ogień artyleryjski ucicha zwolna. Nad Westerplatte unoszą się czarne kłęby dymów. Pali się. Przywarta do ziemi, z bronią gotową do obrony, polska załoga czuwa. Nie zdążyła jeszcze ochłonąć, otrząsnąć się z wrażenia, gdy od strony lądu rechoczą nieprzerwanym jazgotem karabiny maszynowe. Atakują oddziały S. S. Szybkim szturmem chcą zaskoczyć polskich żołnierzy.

— Celownik: dwieście! Ognia! Pal! — Tak, tak, tak, tak, tak... Długie serie ciężkich karabinów witają nacierających. Przed zasiekami z kolczastego drutu natarcie załamuje się. Przedpole zasłane jest zabitymi Niemcami. Pierwszy atak został odparty. Wróg cofa się w popłochu. Wytoczyć dział! Cel: zwalczanie gniazda ciężkich karabinów maszynowych! — Jedyne polskie działko rozgrzmiało w groźnym poszumie. Dwa gniazda zniszczone! Wtem: fii... fii... boom! To pancernik wyrzuca ze swych gardzieli pocisk za pociskiem.

— Celownik: czterysta. Salwa... Od działka... Pal!

Dzielna obsługa skierowuje lufę jedyne działko na morze i odpowiada celnymi strzałami. „Schleswig-Holstein“ wycofuje się o przeszło kilometr w głąb kanału portowego. Lecz oto z drugiej strony: błysk, huk, świszczący grzechot... i straszliwy wybuch. Ogromny grab wali się z łoskotem na strzaskane działko, grzebiąc pod sobą nieustraszonych artylerzystów.

Następuje drugi atak ze strony lądu. Atakującym pomagają marynarze z nieprzyjacielskiego okrętu.

— Kulomioty, karabiny, moździerz — ogień!  
I ten szturm zakończył się krwawo dla wroga.

W drugi dzień walki waleczy niebo motorami wrogich bombowców. Lecą nad głowami „stukasy“ po trzy, po trzy... Grzmią złowrogim dudnieniem i przeraźliwym chichotem odrywają się samoloty od nieba, lecą prosto na ziemię i znów podrywają się wzwyż. Grom za gromem pada na rozorane zębem wojny pole walki.

Trzęsie się grunt pod ciałami, kolebie w wybuchach bomb, ciemną chmurą wspina się w górę. A potem cisza. Czy wszystkich obrońców pochłonęła ziemia? Ustał bohaterski opór?

Znów nowa fala Niemców naciera. I tej nie udaje się wdrzeć w głąb umocnień polowych.

Załoga Westerplatte trwa na swym posterunku. Nie ma już moździerzy. Rozbite. Nie ma połączeń telefonicznych. Zerwane. Nie ma ciepłej strawy. Brak wody. Ranni, którzy się znajdują na punkcie opatrunkowym w piwnicy koszar, nie mają dostatecznego schronienia. Są liczne wypadki powtórnego ranienia. Nie można im nieść pomocy...

Trzeciego września słychać bicie dzwonów i odgłosy tłumów ulicznych. Witają wkwaczające do Gdańska wojsko niemieckie. Radio doniosło o zajęciu Bydgoszczy i o dokonanym odcięciu Pomorza od polskiego zaplecza. Odsieczy nie można się spodziewać.

Poddać się? Nigdy. Dopóki w ładownicy naboje, dopóki broń w garści. Że głód, że pragnienie, że snu nie ma, oczy od zmęczenia zasnuwają się ciemnymi płatami — nie to, gdy Ojczyzna zalana szkarlatem krwi.

Już znowu atakują. Prażą miotaczami min. Walą w nich granaty z ciężkich moździerzy. Podpalają las. I znowu przeoruje ziemię silny ogień artyleryjski z pancernika.

Dzielna załoga Westerplatte odpiera w dalszym ciągu wszystkie ataki w dzień, w nocy, od strony kanału, morza i lądu, pod osłoną mgły i ciemności.

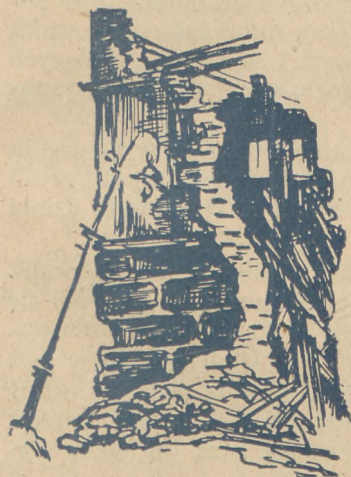
Tymczasem wiadomości radiowe donoszą o zamknięciu polskich oddziałów w Borach Tucholskich, o zajęciu Torunia, Kiele, Krakowa.

Siódmego września następuje ponowne silne natarcie wroga. Bohaterscy polscy żołnierze bronią się ostatkiem sił i woli. Niemcy wycofują się. Padło ich już około trzystu. Po stronie zewsząd osaczonej placówki padł w boju szesnasty.

Komunikat wojenny doniósł, że wróg zdołał przedrzeć się w okolice Warszawy. Na Westerplatte licznym rannym nie można było nie pomóc. Postanowiono złożyć broń...

Dzisiaj w uwolnionym Gdańsku łopoczą znowu polskie sztandary. Bohaterstwo nieulękłych obrońców wpisało się do serc polskich złotymi głoskami.

Franciszek Grott

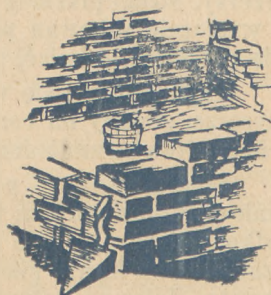


## PRZEDWIOŚNIE

Hej, przeorał wojny lemiesz  
w grzmotach polską ziemię  
i od gór, hen, aż do morza  
trawił domy pożar.

Przeminęły chmurne lata,  
wróg już nas nie gnębi,  
tylko ból się gdzieś zagłębił  
i serce przygniata.

Tylko po wsiach i po miastach  
pustka ruin w niebo wrasta,  
i jak wielka, krwawa rana  
w błękit patrzeć wzbrania.



Szumi, węszy wicher w gruzach,  
w zwaly zużli się zanurza;  
buczy w środku, sunie brzegiem,  
pyłem miota w szczyrby cegiel.

Hej, do dzieła, hej, murarze,  
z walić kruche ściany:  
w dół — co się nie przyda na nic,  
rozweselić ludziom twarze.

Hej, posłuchaj, ucha nachyl,  
jak w przestworzach poszum rośnie:  
idzie w słońcu już przedwiośnie,  
wzniesie w niebo nowe gmachy.

Franciszek Grott

# Władysław Jagiełło w Bydgoszczy

— Nareszcie wróciłeś! Czy nowa barka ze stoczni soleckiej wnet nadejdzie?

— Nie jeszcze. Przed tygodniem nie należy jej się spodziewać. Mówił mi wasz brat, panie pryncypale, że sam pilnuje robót na stoczni i stara się o jak najspieszniejsze wykończenie zamówionych statków. Oj, źle się dzieje. Przeszkadzają im Krzyżacy. Onegdaj znowu napadli na stocznię i mnóstwo szkód w niej wyrządzili.

Taka rozmowa toczy się między bogatym kupcem bydgoskim Maciejem Myślęckim, a jego pełnomocnikiem Mikołajem Żakiem, który dopiero co wrócił z niedalekiego Solea.

— Rety, rety, co zrobimy? — biada kupiec. — Stara nasza galara z ładunkiem zboża odplynęła do Gdańska. Mamy mnóstwo wełny i skór na składzie i chciałbym się tych produktów pozbyć jak najprędzej. Wrogi nam zakon, usadowiwszy się w Toruniu, z zawiścią spogląda na rozwój handlowy naszego miasta. Zazdroszczą nam Krzyżacy bogactwa. Boją się, że z czasem Bydgoszcz, ciesząc się względami króla Władysława Jagiełły, stanie się konkurentką Torunia i miasto to pod względem znaczenia handlowego prześcignie. Wojny można się lada chwili spodziewać!

— Opowiadano sobie w Solcu — wtrąca Mikołaj Żak — że podobno Krzyżacy przygotowują się do napaści na Bydgoszcz. Oby się tylko zbyt nie pośpieszyli. Starosta nasz urządził wyprawę na komtura świeckiego. Nie miałyby nas kto bronić. Nieliczna załoga, pozostawiona w zamku, rychło uległaby przemocy wroga.

Maciej Myślęcki nie doczekał się nowej barki. Krzyżacy napadli na miasto i zajęli je. Opanowali także zamek bydgoski. Wielka część miasta, podpalonego ręką nieprzyjaciela, spłonęła. Spaliły się także składnice Macieja Myślęckiego nad Brdą.

— Nie szkodzi — mówi — jestem zdrow i w sile wieku. Niech tylko się skończy wojna, zacznę pracować na nowo. Podobno miłościwy król nasz przybywa nam z pomocą.

Władysław Jagiełło, dowiedziawszy się o nowych gwałtach Krzyżaków, popadł w wielki gniew. Zebrał liczne zastępy wojska i ruszył z odsieczą ciężko doświadczonemu miastu. W dzień św. Michała 1409 r. stanął w lasach bydgoskich i zaczął ostrzeliwać zamek ciężkimi działami. Gęste pociski celnie trafiały w mury i zmiotły z nich rycerzy krzyżackich, którzy ranni lub zabici walili się na ziemię. Dziedziniec zamkowy zapelniał się rannymi, a na gankach i schodach, wiodących do baszt i strzelnic, piętrzyły się trupy poległych, przeszkadzając walczącym w zajmowaniu wyznaczonych posterunków.

Z baszty, skąd roztacza się najlepszy widok na okolicę, stoi komtur zamkowy w otoczeniu rycerzy. Śledzi przebieg walki. Wie, że nie zdoła utrzymać zamku. Posyłał do przelożonych i prosił o wszczęcie rokowań pokojowych. Jeszcze poseł z odpowiedzią nie wrócił. A tymczasem działa nie przestają grzmieć, przeciwnie, ogień się wzmacnia.

Nagle rozlega się wstrząsający huk, słychać tak ogłuszający trzask, jakby zamek się walił. Rycerze, stojący na baszcie, padli na podłogę. Komtur, chwytający obu rękami głowę, zwałił się z nóg. Krew strumieniem leje się z rany. Jeszcze żyje. Po chwili ciało pręży się i ciężko ranny umiera.

Wśród obecnych powstaje zamieszanie. Co począć? Ogień z dział coraz silniejszy. Mury rozwalone. Coraz grubsza warstwa trupów zaściela ziemię. Najdzielniejsi rycerze zginęli. Pozostały tylko wojska zaciężne bez wodza. Nie ma komu zagrzać ich do dalszej walki. Jakiś śmiałek szabłą ucina kawał płaszcza krzyżackiego, przyczepia do żerdzi i wymachuje nim, jak białą chorągwią. Załoga zamku poddaje się.

Zwycięski Władysław Jagiełło obejmuje miasto i zamek. Mieszkańcy urządzają mu liczne owacje. Wiwatują na jego cześć i witają go jako zbawcę. Każdego dnia król doznaje licznych dowodów wierności i przywiązania z ich strony. Jednym z jego najgorliwszych wielbicieli jest Maciej Myślęcki.

— Niech tylko się trochę dorobię — mówi — ofiaruję 10 walów sukna na przyodziewek dla żołnierzy.

Nie przeczuwa, że już w następnym roku będzie miał możliwość spełnienia swej obietnicy i do pomoże do przygotowania jednego z oddziałów wojsk, idących na Grunwald.



Joanna Markowska



# LUDZIE PRACY

Bronek Salata z rodzeństwem mieszkał w czasie okupacji u swych dalekich krewnych pod Warszawą. W tych podmiejskich okolicach rozsiadły się liczne gromady niegdyś zupełnie biednych ludzi, utrzymujących się wyłącznie z pracy rąk, czasem na swoich, a częściej na wydzierżawionych od kogoś kawalkach roli. Te niewielkie kawalki starannie uprawionej ziemi w pobliżu wielkiego miasta zapewniały coraz lepszy byt tysiącom pracowitych ludzi. Pospolicie nazywano ich „badylarzami“. W tej żartobliwej nazwie nie kryła się jakaś złośliwość, która mogłaby zadrasnąć godność tak zacnego zawodu. Nazywano ich tak dobrodusznie, z odcieniem lekkiego humoru, właściwego różnym warszawskim powiedzonkom. Oni nie obrażali się, bo nie czuli ku temu żadnej potrzeby. Przeciwnie, nawet byli z tego dumni. Nawet sami w potocznej rozmowie tak się nazywali. Wielu spośród tych badylarzy dorobiło się swą własną pracą znacznego majątku i poszanowania od wszystkich ludzi. Dumni byli z tego, jak mawiali nieraz, że nie odziedziczyli w spadku po dziadku tego, co posiadali, tylko sami to zrobili wprost z niczego. Zapewnili byt swoim własnym rodzinom i innym mogli dopomóc w potrzebie.

Ogrodnictwo i umiejętnie prowadzona hodowla drobiu, królików, trzody chlewnej, a często i kilku sztuk bydła, wzajemnie się uzupełniały i tworzyły zdrowe podstawy prawie że samowystarczalnej gospodarki.

Przyglądał się temu Bronek przez parę lat i choć był jeszcze mały, ale dużo się nauczył. Przekonali się wszyscy w najcięższych dniach okupacji, że dzielnym badylarzom bieda nie dokuczwała. Wprost omijała ich z daleka. A iluż to innych ludzi uratowali oni swą pracą od głodowej śmierci? Za ich przykładem poszła cała ludność Warszawy. Praca w ogródku, na zagonie stała się symbolem wytrwania. Każdy skwerek, każdy trawnik, każde podwórko, a nawet pokryte warstwą ziemi ruiny zburzonych domów zamieniały się w maleńkie ogródki. Sadzono w nich wszystko, co tylko mogło rósć. Każdy wolny metr kwadratowy ziemi był wykorzystany pod uprawę. Każdy metr dawał plon i karmil głodujących. Okazało się teraz, jak już nieraz bywało, że w wielkiej potrzebie każdy Polak nie tylko potrafi zostać bohaterem wolności, jako bojownik na polu walki, ale umie również złożyć liczne dowody bohaterstwa pracy i cichego poświęcenia dla innych.

Obrazki te są dobrze znane nie tylko z Warszawy, ale i z innych większych i mniejszych miast polskich, a nawet drobnych osiedli wiejskich.

Z każdego ciemnego zaułka, w te smutne dni dolatywał do uszu przechodnia monotony, żalony jęk wiatru: „Oj, bieda, bieda, niedola!“

A na przekór biedzie i niedoli z jasnych polanek skrętnie uprawionych ogródków promieniowała pełna godności dumna odpowiedź ludzi pracy:

„Nie damy się, przetrwamy i wygramy!“

Wychylające się z ziemi marchewki i buraczki, zwisające z łążek strączki fasoli i dojrzewające w ulicznym kurzu pomidorki uśmiechały się do przechodniów i krzepiły nie tylko na ciele, ale i na duchu.

Te słabe, wątłe roślinki dawały moc człowiekowi. Przemawiały do niego żywiej, niż najpiękniejsze kwiaty, których miejsce chwilowo zajęły. A jak krzepiący był ten widok, najlepiej mogą powiedzieć ci, którzy byli już „na wykończeniu“. Ileż to razy Bronek sam ratował głodnego biedaka, który już padał i dalej iść nie mógł! Orzeźwiony i pożywiony nabierał znów sił i szczęśliwie uchodził przed łapaczami. Nawet sam widok dojrzewających owoców ludzkiej pracy podtrzymywał na duchu. A już najbardziej krzepiącym w owych czasach było to, że tych prawdziwych skarbów na ulicy, tak potrzebnych każdemu, nikt nie pilnował i nikomu nie przychodziła do głowy myśl wyciągnięcia ręki po cudzą własność.

— W takim społeczeństwie to warto żyć — myślał sobie niejeden przechodzień. W takim otoczeniu żył i wychowywał się Bronek Salata. Uczył się pracować, uczył się przestawać na swoim i polegać na własnych siłach. Łatwy, doraźny zysk nigdy go nie nęcił. Widział nieraz w mieście, jak lekko zarobione pieniądze jeszcze lżej rozplywały się bez pożytku. To mu się nie podobało. Natomiast w podziw wprawiało go to, że z tak znikomo małych, drobniotkich nasionek, kładzionych do ziemi na wiosnę, powstawały wielkie masy rozmaitych warzyw, jarzyn i owoców o dużej wartości w jesieni. Cieszyło go samo zjawisko rozwijania się, rozrastania i powiększania. Nieraz bywało, przybiega do domu zdyszany i krzyczy z radości: — Takie ogóry! Przy czym pokazuje długość polowy ręki. — Jak klonice; — dodaje dla wywołania większego podziwu.

Nieraz stękał pod ciężarem naladowanego kosza, ale zawsze przy zbieraniu w ogrodzie wyla-  
pywał najokazalsze sztuki i uśmiechał się do nich, jak do najlepszych znajomych. Bo też znał  
w całym ogrodzie każdą roślinę, jak nikt inny. Wiedział, której jest za sucho, której za zimno,  
a której za gorąco. A ile się z nimi narozmawiał? Jedną pochwalił, drugą poratował, a trzeciej  
zrobił wymówkę, że jeszcze się nie poprawiła. Traktował je, jak żywe istoty i odnosił się do nich  
z całą serdecznością. Wśród nich czuł się najlepiej.

Aż przyszły pamiętne sierpniowe dni powstania bohaterskiej Warszawy. Morze płomieni,  
dymu i pyłu zalewało okolicę. Warstwa popiołu i tlejących strzępów okryła wszystko. Kwitnąca  
okolica została zamieniona w zgliszcza. Broniek po raz drugi wraz z innymi dzielił los wygnańca.  
Na opuszczonej ziemi wszystko, co było żywe, ginęło, ale ziemia wiecznie żywa, gotowa zawsze  
wydawać nowe plony, czekała na pracowite ręce.

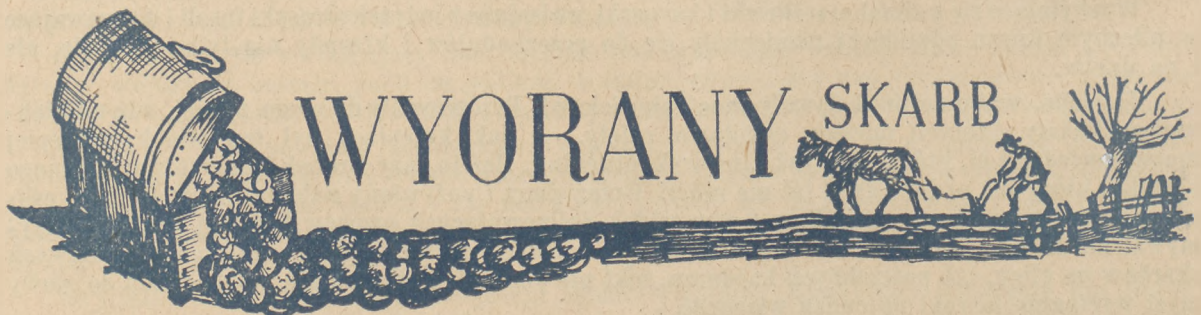
Nadeszło wyzwolenie. Broniek powrócił do rodzinnych stron i chodzi do szkoły. Niedawno  
czytał w gazecie, że obecnie prawie całej Europie, zrujnowanej wojną i obrabowanej z zapasów  
żywności, zagraża głód.

Wszyscy zaczynają myśleć, jak zaradzić grożącej klęsce. U nas chłopci, oddawszy sumiennie  
nałożone na nich świadczenia rzeczowe, spełnili swe obowiązki prawdziwych żywicieli kraju, ale  
tego wszystkiego jest jeszcze za mało. Wszystko niby jest, ale w niewielkiej ilości i dlatego takie  
drogie. Kto ma dużo pieniędzy, to zapłaci drogo i dostanie wszystkiego, czego dusza zapagnie.  
Głód mu nie dokuczy. Ale nie stać na to uczciwego człowieka pracy, obarezonego w dodatku liczną  
rodziną. Tych przynięta poważna troska i dlatego muszą szukać dobrej rady, aby się nie dać.  
Zamyślił się Broniek i rozważa, co należałoby zrobić. Przecież wie dobrze, że po wojnie jest coś  
bardzo biedni, że jedynym naszym bogactwem są te ręce, które trzeba rzetelnie przyłożyć do  
pracy. Ale przypomina sobie tylu biednych ludzi, którzy niczego nie mieli, a potrafili dorobić się  
majątku. Pamięta, jak pewnego razu, jeden ze starych ogrodników, zwany badylarzem, powie-  
dział mu, że w ziemi są ukryte skarby; trzeba długo kopać, to się je znajdzie.

Wstał od stołu, zatarł posiniałe od chłodu ręce i snuł coraz wyraźniejszy wątek myśli. Spoj-  
rzył przez okno na przelotną kurzawę śnieżną, ale się tym nie przejął. Poszedł do drwalki, wziął  
kilka deszczul k, poszukał gwoździ i zrobił skrzynkę. Wybiegł z nią do ogrodu, ugrzebał łopatką  
najpłuźniejszej ziemi i przyniósł do mieszkania. Wyrównał starannie i postawił na parapecie  
okna od strony południowej. Potem wyjął z szufladki zeszloroczne nasienie pomidorów i zasiał  
w skrzynce. — No, pomidory już mamy — mówi z zadowoleniem sam do siebie. Po skończonej  
zimie, gdy rolnik znów wyruszy w pole do wiosennego siewu, to i my mieszkańcy miast, pójdzie-  
my w jego ślady. Głód może nam grozić, ale nie dokuczy, gdy każdy zdolny do pracy stanie na  
zagonie i zasadzi choć tyle, ile dla niego samego potrzeba.

Broniek postanowił, że nie da się nikomu prześięgnąć w tej robocie. W szkole zakłada kółko  
ogrodnicze. Będą hodowali różne rośliny, a między innymi krzewy i drzewka owocowe, żeby było  
dużo owoców, tak potrzebnych każdemu dla zdrowia.

F. Łukasik



## WYORANY SKARB

Zima była do niczego. Jednego dnia mróz i śnieg, drugiego chlapanina. I tak na zmianę.

Więc nowy powód do narzekań. Celuje w tym stara Franczakowa. Narzeka na wszystko. Że  
reumatyzm połamie ją tutaj do reszty. Że od morza ciągnie wilgoć przeokrutna. A jak nie od morza,  
to od jezior, których pełno wokoło. A zawsze wilgoć, zawsze wiatr. I po co ją tu przywlekli w taki  
daleki świat? Na zgubę chyba i na śmierć. A gdy jeszcze chwyci kiedy z tej wilgoci rwanie zębów —  
to już będzie wszystko, co człowieka może spotkać najgorszego.

Maly Ignasz zaczyna się śmiać do rozpuku.

— Co się boicie o bolenie zębów, kiej wy nie macie ani jednego.

Babka przyznaje, że uwaga o zębach jest słuszna. Mimo to nie przestaje się martwić. Bo po co ją wywlekli na ten koniec świata? — Chyba tylko na umarcie.

Ignasz pociesza babkę, jak umie. I tłumaczy, że tu nie żaden koniec świata, ale Pomorze. Ziemia polska od wieków, ważna jak inne ziemie, albo jeszcze ważniejsza. A gdyby babka chciała umrzeć, to stąd też trafi do nieba. Być może, że stąd będzie bliżej, bo drogi morskie są najkrótsze.

— Co ty, zboreźniku, wygadujesz! — oburza się babka na swego ulubieńca. — To ci nie żal naszych stron?

— Żal, nie żal... A czy tutejsze strony to nie nasze? A najważniejsze, że tam byliśmy komornikami bez kawałka własnej ziemi, a tu jesteśmy gospodarzami. Tam mieliśmy piękne góry, kamienie i glód, a tu będziemy mieli piękne morze, piękne jeziora i chleb. Widzi, babcia, że nic nie tracimy, a tylko zyskujemy.

Lecz babka dalej głową kiwa. Już wiadomo, o czym myśli. Mówi się o tym w domu niemało. Że wiosna za pasem, a we wsi nie ma ani koni, ani motorów. Czym się obrobi tę ziemię? Bo ziemia jest, lecz nie ma czym obrobić. Wróg zniszczył inwentarz, a wojna dokonała reszty zniszczenia. Zanim się te luki uzupełni, upłynie sporo czasu. Lecz ziemia czekać nie może. Ziemia woła o pracę, o siew. A ludzie po wsiach, osadach fabrycznych i miastach wołają o chleb.

Tymczasem wiosna idzie coraz szybciej. Ziemia schnie, paruje, pozbywa się wilgoci. Na zrudziałych płatach łąk wykwłują się soczysta zieleń. Nad strugami otwierają wiośniane oczy żółte kaczęce. Na groblach kłaniają się słońcu blade pierwiosniki.

Wiosna!

I byłaby radość pełna, gdyby nie ten brak sprzętu, potrzebnego do robót wiosennych. A tak — to jeszcze nie wiadomo, co będzie. We wsi jest zaledwie jedna para koni. O, bo nie wystarczy mieć ziemię, trzeba się z nią zbratać, żyć. A to może nastąpić przez pracę na tej ziemi. Gdy przeorzą pole raz i drugi, odwałą pierwsze skiby, poczują zapach ziemi, wtedy uwierzą ostatecznie, że ta ziemia jest ich na zawsze.

Nagle sprawa bierze pomyślny obrót. Starostwo w Lęborku dostarczyło kilku koni, a jeden z gospodarzy zdobył w jakiś sposób ładnego siwka. Teraz chłopie rada w radę, aż stanęło na tym, że tymi końmi i sprzętem, jaki jest u niektórych gospodarzy, muszą być odrobione wiosenne roboty całej wsi. Wszyscy zdolni oddają się pod rozkazy sołtysa i nie spoczną, aż pola wszystkich będą zaorane, obsiane, zasadzone ziemniakami. Gdy się wszyscy wezmą rażno, nie potrwa to długo.

Któregoś dnia zawrzało we wsi, jak w ulu. Zapał ogarnął starych i młodych. Teraz już wiedzieli, że dadzą sobie radę. Jedni orzą, inni już bronują i roboty ubywa.

Największego szczęścia doznał Ignasz. Przez cały dzień poganiał konie, orząc swoje pole. Przez inne lata jako komornik tłukł bryły, zbierał kamienie, a teraz sam za lejce trzyma i patrzy, jak ojciec nad plugiem pochylony, odwala skiby równo, prosto, prościutko, bo to przecież sobie, dla swoich.

Nagle zgrzyt ostrej i plug poszedł na lewo. Pewnie odłamek granatu. Tyle tych odłamków już wyorali, że jest obawa o plug. Ale widać z tego, z jakim trudem wydzierano tę ziemię z rąk najeźdźcy. I ile krwi wsiąkło w tę ziemię, zanim znów wróciła do swych właścicieli.

Co to? Coś się zaświeciło... To nie odłamek pocisku.

Stanęli. Patrzą: skrzynia, nie skrzynia? Ojciec podważa drągiem i wyjmuje metalową szkatułę. Ze środka dobywa się dziwny brzęk.

Skarb!

Podważono wieko i chłopiec zobaczył pełno dużych monet. Zaczął krzyczeć z radości.

— Tatusiu, skarb! Teraz będziemy mieli za co kupić konia!

Ojciec pogrzebał w szkatule, potem powiedział:

— Konia nie kupimy, lecz coś więcej...

— Dwa konie! Albo motor.

Ojciec zaprzeczył ruchem głowy.

— To są polskie pieniądze z dawnych czasów. W jakiejś zapewne bitwie zakopał je któryś z rycerzy, bojąc się, by nie wpadły w ręce wroga. Potem może ów rycerz zginął, może zapomniał miejsca, więc pieniądze w ziemi zostały.

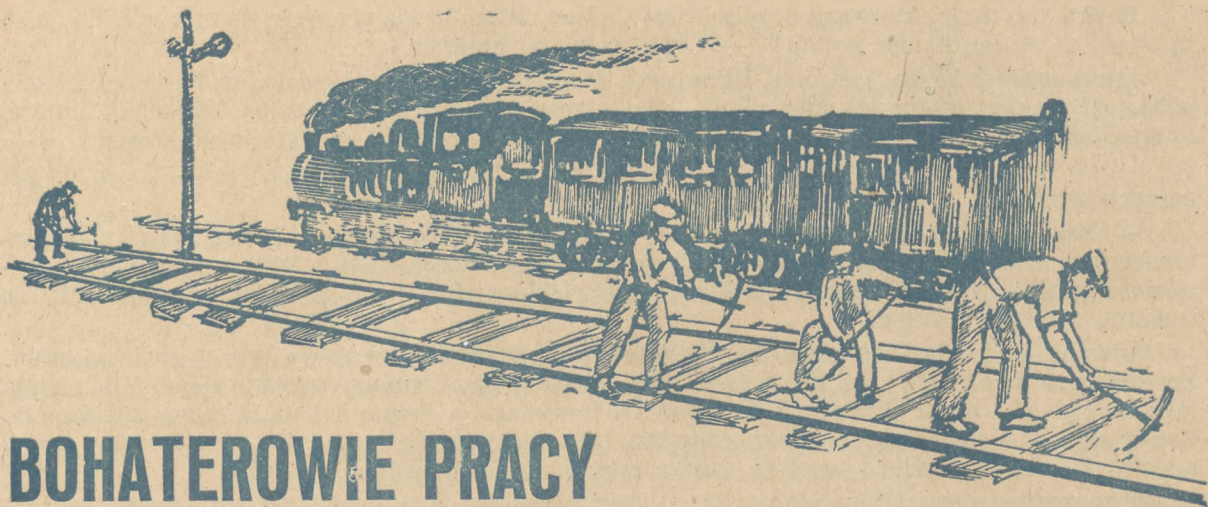
— To nic z tych pieniędzy? — zasmucił się Ignasz. — Nie się za nie nie kupi?

— Mało ci jeszcze? Masz ziemię, o której ten skarb wydaje świadectwo, że była dawniej nasza, jest i będzie nasza!

I kiedy znów konie szarpnęły za plug, ojciec z synem odnieśli wrażenie, jakoby po tej ziemi stąpali od wieków. A przecież była to ich pierwsza wiosna na Pomorzu.

Mimo pośpiechu przy pracy nie czuli zmęczenia. Słońcem nagrzanego powietrze chłodził z lekka wiatr od morza.

Wład. Dunarowski



## BOHATEROWIE PRACY

Janek wyjrzał oknem: szarzało.

— Pójdziemy. Słychać już kroki śpieszących do pracy. Wkładaj plecak — niecierpliwi się ojciec.

Schodzą. Stukają ciężko ich robocze buty w ciszy pograżonych jeszcze w głębokim śnie mieszkańców domu, który wyszedł zupełnie cało z pożogi wojennej. Tak, już nie ma obaw przed zniszczeniem, jakie przynosi ze sobą wojna. Ach, czyżby na pewno? Czyż można było tak doszczętnie rozbić wroga, który jeszcze tak niedawno poruszał się w tym mieście, jakby nie miał zamiaru nigdy go opuścić i który od pierwszych dni wkroczenia dyszał chęcią zmiżdżenia wszystkiego, co polskie? Czyż naprawdę nie znajdzie tyle siły, aby zamienić w zwaly gruzów miasta swymi eskadrami, którymi tak się chępnym?

— Uważaj, na cegły wchodzisz — wyrwał Janka z zamyślenia ojciec. Mijali dom podpalony przez Niemców. Sterczały w górę tylko ściany i kikuty kominów. Otwory okienne wzywały czarnymi źrenicami z pustego środka, który się zawalił, wyrzucając na chodnik masy popiołu, zwęglonego drzewa i cegieł. Było to dzieło niemieckich dywersantów, których zadaniem było podpalanie, wysadzanie w powietrze jak największej ilości ważnych dla rozwoju miasta budynków i magazynów.

— To nie, zabierzemy się do pracy. Odbudujemy wszystko. Usuniemy ruiny na Starym Rynku i w innych częściach miasta. Powstaną nowe gmachy, okazalsze.

Przechodzili przez Plac Teatralny. Janek obejmował spojrzeniem szczątki dawnego teatru. Resztki murów przypominały o stoczony niedawno walce. W przestrzelonych na wylot ścianach kręcił się wiatr, zsypując na dół pył i zapach spalonego wnętrza.

— I to odbudujemy — mówi pelen zapалу ojciec. Pomożemy wszyscy. I ty nie będziesz próżnował, Janku! Zresztą dzisiaj pokażesz, co umiesz. Konduktorem kolejowym chcesz być. Na to musisz sobie zasłużyć. Skoro ruszą pierwsze pociągi, zgłoszę cię do dyrekcji. Najpierw musimy oczyścić tory z min i rozwalonych wagonów.

Janek uśmiecha się ukradkiem. Już on da sobie radę. Przecież ojciec wie, jakiego ma syna. Nie upłynął jeszcze tydzień, jak nad Bydgoszczą rozbrzmiewały w hukach fanfary wolności, gdy powrócił z robót przymusowych. Objął tam komendę nad grupą kolegów zaraz po ucieczce pilnujących ich Niemców, przedzierał się nieuleknie przez grzmiący ogniową zawieruchą front, szczęśliwie i bez strat dotarł do domu. Przebył tyle tygodni, nakopał się tyle piachu, że można by z niego usypać chyba nowy kopiec Kościuszki. Pracował dla wroga. A dziś? Nabiera całą piersią zimnego powietrza i czuje w sobie tyle nowych sił, że wystarczą chyba, aby w zgodnym wysiłku pomóc Ojczyźnie do wydzwignięcia się ze zniszczeń.

Ojciec był jednym z pierwszych kolejarzy, którzy zgłosili się do pracy. Przed wojną był zawiadowcą stacji. Teraz pracuje jako zwykły robotnik. Usuwa rozwalone skrzynie, przepycha z innymi wagony, nosi na swych barkach ciężary. Nie wstydzi się żadnej pracy. Nie pyta, ile zarobi. Zgłosił się pierwszy ochotniczo do kolumny, mającej oczyścić tory z podłożonych min. Naraża swe życie. Pociągi muszą ruszyć. Front czeka. Nie wolno zwlekać i długo namyślać się. Cóż z tego, że ma liczną rodzinę, że stary. Oto dziś zabiera ze sobą Janka.

Kiedy przebrnęli przez ciemny tunel, zastali kolumnę drogową gotową do wymarszu. Saperzy mają do wyszukiwania min specjalny aparat, który noszą na plecach. Połączony jest ze słuchawkami i laseczką, długości około 2 m. Uczestnicy wyprawy zaopatrzyli się w skromne zapasy, nie wrócą do domów prędzej, jak za 3—4 dni.



Po kilku kilometrach rozpoczynają niebezpieczną pracę. Żołnierze prowadzą laseczkę nad ziemią. Wsłuchują się uważnie w szmery słuchawek. Urywane buczenie wskazuje bliskość miny. Kolarze pracują ostrożnie. Wiedzą, jak niebezpieczne są miny zaczepiające, wyrzucające ze siebie kulki stalowe, które grożą zabiciem lub ranieniem. Miny, służące do uszkodzania torów i wysadzania pociągów, eksplodują dopiero pod większym ciśnieniem. Ciężar człowieka nie powoduje wybuchu.

Janek posuwa się z zapartym tchem i uważnie śledzi ruchy i wyraz twarzy saperów. Słucha z zainteresowaniem opowiadań o eksplozji min czasowych, wybuchających dopiero po przejeździe pierwszych 4—6 wagonów. Wydobycie miny połączone jest także z wielkim niebezpieczeństwem. Niektóre posiadają aż trzy zapaluki: z wierzchu, ze spodu i z boku. Nie wszystkie można odkręcić i uczynić je nieszkodliwymi. Są takie, które za pomocą specjalnego aparatu doprowadza się do wybuchu. Najbardziej zdradliwe są małe, jak pudełko zapalek. Przeznaczone są one dla poszukiwaczy min. Odkryć ich aparatem nie można. Toteż nieostrożne nastąpienie może zakończyć się ciężkim kalectwem.

O tych niebezpieczeństwach pamiętają wszyscy. Posuwają się też naprzód bardzo powoli. Rozlegające się raz po raz detonacje świadczą o wykryciu min i unieszkodliwieniu ich. Praca pełna poświęcenia i napięcia nie może być przerywana. Bo oto czekają żołnierze na froncie na amunicję, ranni na przetransportowanie do szpitali. Tysiące rodzin oczekuje powrotu swoich najbliższych z robót przymusowych.

Janek postępuje za innymi. Drży z przejęcia, gdy odnosi na rękach w pole wykopaną minę. Wie, że zapalniki odkręcone, wie, że go nie złego spotkać nie może, mimo to nie umie uspokoić serca na myśl, że może nastąpić wybuch, który go rozszarpie w kawałki. Przyznaje się w duchu, że woli już przepychać uszkodzone wagony, nosić na barkach ciężkie podkłady, choć nigdy nie wiadomo, czy pod resztką mokrego śniegu nie czai się podłożona mina.

Po kilku dniach dudnią koła pierwszych pociągów po oczyszczonych torach. Janek przydzielony do innej teraz kolumny, widzi oczyma duszy siebie w roli konduktora wspaniałego ekspresu przebiegającego z zawrotną szybkością na linii Katowice—Gdańsk. Dzwoniący po szynach stuk przejeżdżających wagonów zapada głęboko w serce i budzi w nim gwałtowną tęsknotę do spełnienia tego marzenia.

Franciszek Grott

## Ania się myje

W klasie nikt nie chce siedzieć obok Ani. Dzieci mówią, że po sukience Ania łązi coś brzydkiego. Nikt tego wprawdzie nie zauważył i dzieci powtarzają to chyba przez złośliwość. Faktem jednak jest, że Ania jest brudna. Fartuszek na niej podarty, wymięty. Szyja dawno nie myta. Na twarzy widać kręsty. Dzieci nie lubią Ani, unikają jej, nikt się też z nią nie bawi.

Odkąd Basia została wybrana przewodniczącą szkolnego koła Polskiego Czerwonego Krzyża, zaczęła się bliżej interesować koleżankami. Zwróciła też uwagę na Anię. Poszła ją kiedyś odwiedzić do domu. I cóż zauważyła? Ania jest bez rodziców. Nawet nie wiadomo, czy jeszcze żyją. Niemcy któreś nocy ich wywieźli i do tej pory rodzice nie wrócili. Anię tymczasem przysparzali sąsiedzi. Dają jej jeść, a Ania pomaga im za to w gospodarstwie domowym. Rano, jeszcze zanim wyjdzie do szkoły, musi z piwnicy nanieść drzewa, węgla i ziemniaków. Gdy wróci i zje obiad, musi pomyć naczynia. Potem chodzi po sprawunki. Mało ma czasu, by pomyśleć o sobie. Sąsiedzi nie dbają bardzo o to, by Ania była czysta.

Basia smutnie kiwa głową na te porządki. Przyniosła kawałek mydła i mówi, że trzeba zrobić pranie. Widzi, że Ania stale zajęta, więc przyrzeka, że przyjdzie jej pomóc. Tymczasem zagrzała wody na gazie, naląła do miednicy i kazała Ani zdjąć sukienkę. Ania się myje, aż piana pryska wokół. Potem wytarła się ręcznikiem, czesze się i spogląda w lusterko. Jest teraz czysta i zaraz ładniejsza.

Basia przyrzekała, że każdego wieczora wpadnie, by przypilnować czystości Ani.

— Nie gniewaj się o to, — mówi Basia. — Ale skoro rodziców twoich nie ma, obowiązkiem koleżanki jest przypilnować, byś była czysta.

Ania się nie gniewa, ale patrzy na Basię zdziwiona.

— A skoro wypierzemy twoje koszulki i sukienki, zabierzemy się do prasowania i cerowania. Gdy będziesz miała mało czasu, koleżanki przyjdą ci pomóc.

L. B.



# Ludwik Pasteur



Zygmunt wkrótce ukończy szkołę i zamierza kształcić się nadal w szkole zawodowej. Posłali go do lekarza po świadectwo zdrowia. Czeka w poczekalni lekarskiej, w której pełno jest ludzi. Siedzi spokojnie i pilnuje swojej kolejki, ale jakoś nie może się doczekać. Zaczyna się kręcić na krześle, ziewać po trochu, ale to nie wiele pomaga. Jeszcze jest przed nim ośmiu pacjentów.

Tymczasem wzrok utkwił na ścianie, gdzie wisiał portret. Jakiś pan w czarnym surducie. Oczy płomienne, wąs, broda siwiejąca. Pod tym napis — Ludwik Pasteur.

Kto to taki? Nigdy o nim nie słyszał. I nazwisko obce. Francuz pewnie — pomyślał. Przygląda się coraz bardziej portretowi, co zwróciło uwagę jakiegoś starszego pana w poczekalni, który się też nudził, niemniej niż Zygmunt.

— Cheesz, to ci opowiem coś o Pasteurze! — zwrócił się do Zygmunta.

— Proszę pana, a kto to jest?

— Widzisz tu w poczekalni pełno chorych, którzy przychodzą do lekarza — odrzekł pan.

— A wiesz, skąd się biorą choroby, np. grypa, odra, dyfteryt i tyle innych?

— Ludzie się zarażają.

— A tak! Istnieje na świecie pełno drobnoustrojów, które nazywamy bakteriami. Są w powietrzu, w wodzie, w śmieciach, w cuchnących kątach. Nie są one dla nas gołym okiem dostrzegalne. Ludzie też o nich przez długi czas nie wiedzieli. Dopiero, kiedy wynaleziono mikroskop, dostrzeżono je i zaczęto poznawać.

— Aha, więc, kiedy te bakterie dostają się do ciała, to człowiek zapada na chorobę zakaźną.

— Tak, masz rację, chłopcze! Ale nie wszystkie bakterie są chorobotwórcze. Są i takie, które nie czynią człowiekowi szkody, lecz są mu przyteczne, powodując gnicie różnych ciał, np. liści, które spadają z drzew i potem użyźniają glebę, tworząc próchnicę, mleka, które kwaśnieje itp.

— Przepraszam bardzo, ale pan chciał mi o Pasteurze opowiedzieć.

— Otóż właśnie! Pasteur był biologiem i pierwszy dostrzegł te drobnoustroje, był więc ich odkrywcą. Wywołało to olbrzymi przewrót w nauce. Odkrycie Pasteura wpłynęło na rozwój nauk przyrodniczych, przede wszystkim jednak na rozwój nauk lekarskich. Odtąd lekarze, uzbrojeni w mikroskop, zaczęli szukać i badać bakterie chorobotwórcze, co pozwoliło im wytworzyć szczepionki przeciwko chorobom zakaźnym.

Pasteur pierwszy odkrył bakterie wścieklizny. Ludzie nie umieli się obronić przed wściekłymi psami. Ukąszenie ich było śmiertelne. Pasteur pierwszy zrobił zastrzyk małemu chłopcu francuskiemu, ukąszonemu przez wściekłego psa, i chłopiec wrócił do zdrowia. Potem uzdrowił wielu rosyjskich żołnierzy, których pokąsały wściekłe wilki.

Później udało się innym lekarzom odkryć inne bakterie i spreparować odpowiednie zastrzyki. Niemiec Koch odkrył zarazek gruźlicy, Francuz Roux zarazek dyfterytu, a nasz rodak Weigl ze Lwowa — zarazek tyfusu. Odkrycia te przyniosły wiele dobra ludzkości i uratowały niejednemu ciężko choremu życie.

— To bardzo zasłużony człowiek, ten Pasteur! — odpowiedział Zygmunt. — Pewnie go bardzo czcili.

— Właśnie, że nie, mój przyjacielu — opowiadał w dalszym ciągu starszy pan. — Kiedy Pasteur ogłosił światu swoje wielkie odkrycie, uczeni francuscy wyśmiali się z niego. Nie chcieli uwierzyć, by jakaś mała niedostrzegalna bakteria mogła powalić z nóg silnego i zdrowego człowieka. Kiedy Pasteurowi zachorowała żona i wezwał lekarza, ten nie chciał przed przystąpieniem do loża chorej umyć rąk. Pasteur musiał go zmusić do tego, bo wiedział, że bakterie mieszczą się głównie w brudzie i zachowanie czystości, a więc częste mycie rąk, jest jednym ze środków zwalczania bakterii chorobotwórczych. Często tak bywa, że wielcy ludzie nie są zrozumiani przez współczesnych, ludzie z nich drwią i dopiero przyszłość okazuje doniosłość ich odkrycia.

— Następny, proszę! — odezwał się głos lekarza.

To kolejka Zygmunta. W czasie rozmowy ze starszym panem ani się spostrzegł, że lekarz przyjął już wszystkich pacjentów, którzy przed nim oczekiwali na swoją kolej.

L. B.

# NAD MORZEM



Jastarni, widzi się morze z jednej i drugiej strony. Flis to stary wyga morski, który w młodości, służąc na statku handlowym, zwiedził pół świata. On oraz jego dwaj dwudziestokilkoletni synowie raźnie biorą się do dzieła. Ich kuter rybacki, żagle i sieci zawsze są we wzorowym porządku, bo wszelkie wolne od zajęć chwile wykorzystują, naprawiając najdrobniejsze uszkodzenia powstałe w czasie wypraw na morze. Niekiedy tylko biorą udział w zabawach. Rzadko przesiadują w karczmie. Pilnują rzemiosła. Jeżeli czas i pogoda pozwolą, wyjeżdżają na morze.

Dzisiaj, w jasny ale trochę wietrzny dzień marcowy, znowu puścili się w drogę na połów dorszy. Minęło kilkanaście godzin. Powrócili z połowu Wróblowie i Malczyńscy z sąsiednich chałup. Wieczór już się zbliża, a Flisów nie widać.

— To nie — myśli Flisowa. — Prawdziwi rybacy są twardzi i zahartowani dzięki znoej pracy codziennej i walce z morzem. Tak się pociesza. W głębi duszy coraz większy ją niepokój ogarnia. Od czasu do czasu wybiega przed chałupę i patrzy w dal. Morze coraz burzliwsze. Niebo poszarzało i tworzy razem z powierzchnią morza jedną wielką jednostajną płaszczyznę. Nie można dojrzeć horyzontu. Fale piętrzą się coraz wyżej i ukoronowane grzbietami białej piany uderzają o brzeg. Flisowa z pozornym spokojem wykonuje zajęcia gospodarskie, lecz stale myśli o nieobecnych. To coś porządkuje w sieni, to zagląda do wędzarni, to wymyka się do izby, którą w sezonie wydzierzawia letnikom, śle błagalne spojrzenia ku obrazowi Matki Boskiej i ciężkie westchnienie wyrwa się z jej piersi:

— Panno Najświętsza, Gwiazdo Morza, ratuj moich bliskich! Pozwól im wrócić szczęśliwie! Młodszy syn Flisów, Kazik, wpada do izby.

— Ale morze dziś rozhukane! Fale zalewają całą plażę. Już liżą podnóże wydm, wypłukują korzenie sosen, patrzeć ino, jak się wedrą w głąb mierzei.

— Bywało i to — odbywa się z ławy pod piecem stary Wąsacz, ojciec Flisowej. Lubi snuć wspomnienia z dawnych czasów i opowiadać kilkakrotnie ważniejsze przeżycia.

— Pamiętam, było to w roku 1874. Miałem wtedy 10 lat. Bałwany doszły do takiej wysokości, że przelewały się z jednego brzegu morza na drugi. Zebraliśmy ważniejszy dobytek i szukaliśmy schronienia u krewniaków w Wielkiejwsi. Myśleliśmy, że swojej chałupy więcej nie zobaczymy, że nam ją fale spluczą. Bóg łaskawy obronił. Ale potopiło się wtedy sporo ludzi! A ile szkód woda wyrządziła! Strach pomyśleć!

Cisza zapada w izbie. Każdy zajęty jest własnymi myślami, niepokoi się, lecz nie okazuje tego drugiemu, aby go nie pozbawiać nadziei. Z fotografii, zawieszonych na ścianie, patrzą oczy młodych marynarzy i rybaków, bliższych i dalszych członków rodziny. Ten młodzian w kwiecie wieku utonął w Zatoce Gdańskiej, tamten zginął w czasie połowu niedaleko Rozewia...

— Czyżby i nasi...?

— Nie! Nie... — Flisowa otrząsa się z ponurych myśli.

Nagle drzwi się otwierają. Ukazuje się sąsiad, wołając:

— Jakieś światło zbliża się do brzegu! Może wasi wracają!

Flisowa przyklada rękę do serca.

— Boże, bądź miłościw... — szepce. Wybiega przed chałupę. Ręką przesłania oczy. Nic nie widać. Już zapadł wieczór. Kazik biegnie do przystani. Po chwili wpada do izby.

— Wróciłem szczęśliwie! — woła. — Dużo złowili ryb. Zaraz tu będą, tylko kuter zabezpieczą i ryby przeniosą.

Flisowie wchodzi do sieni. Są wysoocy, barczyci. Mają twarze ogorzale od marcowego słońca i słonych wiatrów morskich. Pozdrawiają obecnych, potem ojciec mówi:

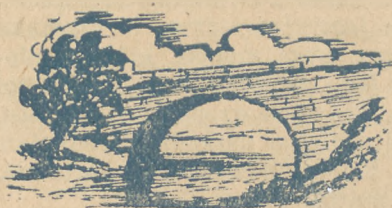
— Spóźniliśmy się, ale to nie nasza wina.

Zdejmując mokrą odzież, lepiącą się i sztywną od soli, opowiadają o swoich przygodach. Zapuścili się zbyt daleko na morze. Dobrze im się lowiło. Nie spostrzegli weale, jak mrok zaczął zapadać i fale się podniosły. Widzieli migotanie latarni rozewskiej, znali kierunek drogi powrotnej, lecz trudno im było posuwać się naprzód wśród fal, które ich stale odrzucały w tył. Po ciężkim zmaganiu się, wymęczeniu, przybili nareszcie do brzegu.

— Albośmy to przeżyli pierwszą burzę na morzu? — kończą. — Rybacy to twardy szcep, który potrafi waleczyć z największymi trudnościami.

Flisowa uśmiechnięta gotuje wiecezrę. Rzadko wtrąca się do rozmowy mężczyzn. Słucha ich opowiadań, przeżywa w duszy chwile niebezpieczne, które spędzili na morzu i po cichu dziękuje Bogu za ich szczęśliwy powrót.

Joanna Markowska



## O zwyciężonym topielcu

Stary Jędrzej lubił opowiadać różne ludowe podania. Siedzi oto teraz w otoczeniu ciekawych i tak zaczyna:

— Działo się to kilka років temu... zaraz... Dziś mam lat sześćdziesiąt sześć, a to było...

— Zaczynajciez od tego, co było dalej, bo nam o lata nie chodzi. A o czym to opowiecie?

— O topielcu.

Zziąb powiał po izbie.

Jędrzej wolno nabijał fajkę, utłaczał palcem. Dziewczęta zmiarkowały z tego, że historia o topielcu krótka nie będzie.

W izbie uciszyło się zupełnie. Tylko czasem zaszumi potok, płynący wartkim nurtem przez wieś. Czasem pluśnie ryba, czasem woda, spadając z kamieni. Należy pamiętać, że Jędrzej umie tak opowiadać, iż wszystkim się zdaje, jakby ten potok płynął nie środkiem wsi, ale przez izbę Walentowej. Jakby ten jaz, gdzie potok wpada do rzeki, był nie za wsią, ale tuż pod samymi drzwiami.

Strach wzbiera.

Bo właśnie pod tym jazem jest największa topiel, w której od niepamiętnych czasów siedzi topielec. Ten, co ludziom émi w oczach, maçi w głowach, a potem wciąga w głębinę.

Mało to było wypadków? Starzy ludzie naopowiadać się nie mogą. Jakie nieszczęście komu się wydarzyło — zawsze na tym przejeździe. Jednemu tu właśnie spadło kolo od wozu, innemu złamał się dyszel, jeszcze innemu konie stanęły dębem i w żaden sposób nie chciały ruszyć z miejsca, aż wywalily wóz. A wszystko działo się na środku rzeki — w miejscu, gdzie największa toń. A zawsze ktoś przedtem widział kręcącego się w pobliżu rzeki chłopca, który potem znikał bez śladu. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że był to topielec. Ponieważ najwięcej wypadków zdarzało się podczas jarmarków, więc straty były tym większe.

Ludzie tylko biadali, narzekali na topielca, ale nikt nie umiał złemu zaradzić. Aż wreszcie znalazł się śmiałek, który postanowił go unieszkodliwić.

Był to człowiek z moeną głową, silną wolą, którego ręce również nie były słabe. On to długo medytował, grzebał w jakichś grubych księgach, radził się mądrych ludzi, aż wreszcie zdecydował się rozpocząć walkę z topielcem.

Jednego dnia na wiosnę, kiedy rzeka silniej wezbrała, przepasawszy się święconym sznurem, tym, co to ludzie u nas przewiązują bażki wierzbowe w Kwietnią Niedzielę, a potem wieńce na Zielną — ruszył nad topiel. Chwiejąc się na nogach, zaczął niby to wypatrywać miejsca odpowiedniego do przejścia. Patrzy tu, patrzy tam — i nijak zdecydować się nie może. Tu rzeka głęboka, tu same wiry — którądy przejść na drugą stronę?

Gdy tak medytuje, ani się spodział, kiedy znalazł się koło niego jakiś człowiek, który prosto zmierzał w najgłębszą toń. Już dochodzi do środka... Ale co to? Woda nie sięga mu kolan, choć wiadomo, że w tym miejscu topiel chłopca zakryje.

— Mam cię! — myśli sobie nasz śmiałek. I choć skóra na nim trochę cierpnie, nie daje tego poznać po sobie. Wie zresztą dobrze, że z chwila, gdy zacznie się bać, straci swą moc i wtedy może ulec. A wówczas, kto ocali ludzi od nieszczęść? Czy dalej mają się topić, łamać dyszle, gubić kola w największej głębi? Nie! Dość tych nieszczęść! Dość zła, które trapi wieś od dawien dawna!

Zacisnął sznur w pasie, a zbywający koniec ukrył w kieszeni. Po czym zaczął wolać:

— Hej, człowieku! Przeprowadźcie mnie przez rzekę!

Tamten odwrócił się i zaczął pokazywać rękami, co miało znaczyć, że w tym miejscu jest bardzo płytko. Że tylko tędy iść trzeba.

Ale chłop udawał, że niczego nie rozumie. Kręcił się dalej w miejscu, patrzy w wodę, to znów na niebo — jakby był zupełnie pijany. Więc topielec zaczął się przybliżać, podchodzić. I choć się już otarł o chłopca, ten nie mógł dostrzec jego twarzy. Może dlatego, że cały był przejęty tą jedną myślą ubezwładnienia topielca. Teraz, czy później? Teraz!

Zarzucił topielcowi pętlę na szyję, szarpnął i zaczął ciągnąć do brzegu. Okropne szamotanie zaczęło się we wodzie. Pluski, wiry, fale lecące wprost na człowieka, balwany spienione, raz czyste, to znów mętne, jak żur. Zdawało się, że potop świata, że rzeka oszalała, że wyskoczyła z koryta i zgubiła swój bieg.

Chłop myślał o jednym: nie bać się. I jeszcze jedno: nie dać się odsunąć od brzegu. Bo te okropności — to tylko urojenia. Najważniejsze w tej chwili: nie pozwolić sobie zmaćnić myśli i dążyć do celu.

Cóż to za nowy dziw? Z prawej strony, gdzie był ład, teraz jest wirująca topiel, a na środku rzeki ziemia świeci piaskiem, suchymi kamieniami, a lodygi zielsk chwieją się zachęcająco.

Lecz chłop nie daje się zbalamucić. Wie, co to wszystko znaczy. I właśnie w tę topiel ciągnie topielca, bo wie, że tam jest suchy brzeg i zaraz orne pole. Ciągnie z całych sił. To nie, że woda sięga po pas i wyżej; że zalewa oczy, uszy. Chłop wierzy tylko sobie. Wie, że tu nie woda, lecz brzeg być powinien.

Sil mu jednak ubywa. Czuje, że długo nie wytrzyma. A topielec za wszelką cenę chce się wyrwać z więzów. Ale widać, że i on traci siły. Że...

Dzieje się rzecz niezwykła. Ginie topielisko, giną wodne balwany, a pod nogami ukazuje się sucha ziemia. Czyli, że chłop zmógł topielca, który stanawszy na ornej ziemi, stracił zupełnie swą moc złego ducha.

Przerywają słuchacze: — A przez co to? Czyby orna ziemia była aż taką świętością?

— Tak. Była świętością, jest i będzie. Na ornej ziemi żaden zły duch nie ma mocy. Traci ją tam natychmiast.

Wszyscy się dziwią.

— Orna ziemia świętością?

— Większą jest świętością, niż wam się wydaje. W niej zaklęty jest cały cud istnienia świata. Tylko w niej.

— A co z topielcem?

— Na ornej ziemi stał się zupełnie bezbronny. Upokorzył się i zaczął błagać o litość. Chłop jednak nie przestawał okładać go batogiem, aż wreszcie ten przysiągł, że już nigdy w tym miejscu się nie pokaże. Że więcej ludziom szkodzić nie będzie. Wówczas chłop odwiązał sznurek, a topielec jak prysnął w wodę, to się zdało, że cała rzeka zapadła się z nim razem.

— No i co? Dotrzymał topielec słowa?

— Toć dobrze wiecie, że dotrzymał. Nie przyszło mu to z trudem, gdyż w tym miejscu zbudowano na rzece silny, betonowy most.

Wład. Dunarowski



## Marcomy dzień

Boguś owija szmatką łyżwy. Chowa je do pudelka. — Już nie będą mi potrzebne — mówi. — Mrozów już nie ma. Śniegu ani śladu. Uciekła już zima. Hen, daleko, na północ, do krainy lodów.

— A kto ją wystraszył? — pyta Janek.

— A któż, jak nie ciepły wietrzyk i słoneczko. Pomógł im deszczyk. Teraz często pada. Kap, kap, kap. Lecą kropelki. Jedna za drugą. Dużo ich leci. Wypełniają wszystkie zagłębienia. Tworzą czarne kałuże. Błoto teraz jest takie duże. Ale dobry wietrzyk silnie dmucha i wnet wszystko wysuszy. Słoneczko coraz częściej na ziemię spogląda. Ot i teraz. Promyki kuszą chłopców. Zapraszają do zabawy na powietrzu. Boguś nie może usiedzieć w domu. Koledzy już pod oknem czekają. Alu — u — A luu — uu! — rozlega się wołanie. Biegnie Boguś z Jankiem. Przeskakują kałuże. Całą gromadką śpieszą nad rzekę. Tam rosną „kotki wierzby“. Srebrzą się z daleka w słońcu. A dalej zwisają żółciutkie bacie. To kwiaty leszczyny. Cieszą się nimi chłopey. Boguś zerwał parę gałązek. Jutro zanieś do klasy. Będą stały w wazoniku na stole.

Helena Jeszkowa



# Na przedwiośniu

Wandzia z Zosią wracały po lekcjach do domu. Choć to było jeszcze wczesne przedwiośnie, ale słońko przygrzewało już dość mocno. Błede dziewczynki spragnione były słońca. Korzystały z nadarżającej się okazji. Lubowały się ciepłymi promykami. Nie śpieszyły do domu. Szły powoli, przystawały, kręciły się na miejscu i rozglądały się wokół.

Na tle błękitnego nieba czasem ukazywały się sylwetki jakichś drobnych ptasząt, podążających gdzieś dalej na północ. Były to pierwsze wysłanniczki zbliżającej się wiosny. Na swych skrzydełkach niosły radosną wieść. Czasem krótkie świergotanie przerywało ciszę w powietrzu. Wówczas dziewczynki przystawały. Zadzierały główki do góry i śledziły wzrokiem za ginącymi w błękitnie ciemnymi punkcikami.

— Wiesz co, Zosiu, ja myślę, że to już chyba niedługo będzie wiosna — mówi Wandzia do młodszej siostrzyczki z odcieniem radości.

— A ja myślę — odpowiada Zosia z pełnym przekonaniem — że to już jest wiosna, bo tak mi gorąco. Zobacz, Wandziu, jak się zgrzałam. Muszę zaraz zdjąć płaszczyk, żeby się trochę ochłodzić.

— Nie, Zosiu, nie zdejmuj płaszczyka! — powiedziała stanowczym, rozkazującym tonem Wandzia. — Jest jeszcze chłodno i mogłabyś łatwo zaziębić się. Później zachorowałabyś, a mamusia przez ciebie by się martwiła. Czekaj, czekaj, powiem mamusi! — dodała dla postrachu.

— Czy nie wiesz, jak Kazia jest chora? Już dawno nie chodzi do szkoły. Chciałaby iść, ale nie może. Musi leżeć w łóżečku, bo się przeziębila.

— No to przepraszam, już nie będę zdejmowała płaszczyka — mówi pokornym głosem Zosia. — Tylko nie mów mamusi — dodaje po chwili. — Wandziu, nie powiesz? — prosi już prawie ze łzami. Żal się zrobiło Wandzi młodszej siostrzyczki, więc udobruchana pyta: — A czy ja jestem skarżypytą, żebym zaraz miała skarżyć za byle co? Przecież nie zdjęłaś płaszczyka, posłuchałaś mnie, to ci przebaczam i nie powiem mamusi.

Tak rozmawiając dziewczynki stanęły przy płocie ogrodu, w którym rosły rozmaite drzewa i krzewy.

— Patrz, Zosiu, — krzyknęła trochę za głośno Wandzia, chcąc widocznie rozweselić zasmuconą siostrzyczkę. Pokazała jej rączką długie, zwisające na cienkich gałązkach bazie leszczyny. — Jakie śliczne bażki! — powiedziała Wandzia z zachwytem. Kiedy one urosły takie duże? Ciągłe tędy przechodzimy i nie zauważyłyśmy ich do tej pory. — Zosia zasłoniła rączką oczy od słońca i patrzyła na lekko poruszające się, podobne do robaczków, bazie, których jeszcze nigdy nie widziała. — A do czego te bazie? — pyta z ciekawością.

— Ja sama jeszcze tego dobrze nie wiem, ale nasza pani mówiła w klasie — odpowiada skromnie Wandzia — że te bazie są kwiatami tej rośliny. Prócz tych baziek są na gałązkach jeszcze drugie, bardzo małe kwiateczki z czerwonymi czubkami. Ja już je raz oglądałam. Gdy bażki dojrzeją, to się z nich wysypuje żółty pyłek. Wiatr rozwiewa go wszędzie. Niektóre pyłki obsiadają na tych drugich małych kwiateczkach. Mówimy o tym, że kwiatki się zapyliły. Wyrosną z nich owoce. — A jakie to będą owoce? — pyta znów Zosia. — Ojej, ty tego nie wiesz? — wyraża swe zdziwienie Wandzia. — To będą łaskowe orzechy. Widziałam, jak rosły tu w zeszłym roku. Najczęściej po dwa, albo po trzy razem.

Pani Ogrodowska, grzejąc się na słońcu, przysłuchiwała się ciekawej rozmowie dziewczynek.

Cicho podeszła do nich i odzywa się: — Widzę, moje dziewczynki, że się wam bazie leszczynowe podobały. Zosia zlekła się i już chciała uciekać, jak mały dzikuszek. — Nie bój się, małe — mówi pani Ogrodowska — niczego złego nie zrobiłaś. Dam ci parę gałązek z bażkami. Przyjrzyj się im dobrze, to zauważysz i te drobnutki kwiateczki, z których wyrastają orzeszki. Dziewczynki wzięły podane im przez płot gałązki, grzecznie podziękowały i z uciechą szybko poszły do domu.

Po drodze wstąpiły na chwilę do chorej Kazi i dały jej najpiękniejsze gałązki.

Włożyły do dzbanuszka z wodą i postawiły kolo łóżečka chorej koleżanki.

Bazie w ciągu kilku dni wyciągnęły się, zrobiły się grube i puszyste.

Gdy je raz Kazia dotknęła paluszkami, to posypał się z nich żółty pyłek, i opudrował jej całą rączkę. Na jej białych policzkach po długiej chorobie zakwitł pierwszy uśmiech.

Fr. Łukasik

# Pieśń pracy



Ledwie Hanka weszła do izby, powiesiła torbę z książkami i podjadła trochę owsianego żuru z kartoflami, zaraz babka postawiła przed nią kosz szarych kłębów wełny i kazała skubać. Dziewczyna nie bardzo lubiła tę robotę, od której puchną palce i oblepiają się tłustym brudem. Być może, iż to skubanie już jej się sprzykrzyło. Nie dziwnego, że teraz więcej myśli o wiosnie, niż o skubaniu. Może jeszcze tydzień, dwa...

Znad stosu spiętrzonych zwojów wełny rzucą Hanka wyczekujące spojrzenia w stronę babki. Bo na dziś mogłoby być dosyć.

Ale starowina siedzi dumnie za krosnami, śmiga czólenkiem tam i z powrotem i ani pomyśli o czym innym. Tka płótno i tak jest pochłonięta tą robotą, że nie dostrzega zmroku, jaki się ścięle po izbie. Cała jej dusza weszła w te nitki szare i to płótno, zwijające się w grubiejący walek. Babka tka płótno, jak tkala niegdyś, kiedy nie była babką, ale młodą dziewczyną. Tka od samego listopada, dzień po dniu. Zrosła się chyba z tym warsztatem, bo inaczej nikt jej nie widział jak przy krosnach. Na zgarbione plecy narzuciła chustę, bo ziąb ciągnie od okna. I dalej tka. Nie przerywa. Mocno stuka „postaw“, zbijając płótno, które potem wolno nawija się na walec. A babka głośno liczy lockie, ocenia przędzę i od czasu do czasu woła na Hankę, by związała zerwaną nić.

Dziewczyna podrywa się, biegnie do krosien i już nitka jest w porządku. Ale babka ma okazję pomarudzić na prządki, że tak marnie uprzedły nici; że teraz ona musi się tyle kłopotać. Ile to czasu przez to straci.

— Hanuś, znów się urwało!

I tak idzie robota w stukocie krosien i wśród utyskiwań babki. Ale widać, że babka bez tego stukotu i bez utyskiwań żyć by nie mogła.

— Babko — odzywa się po jakimś czasie Hanka — może byście se odpoczęli. Już się całkiem ściemniło.

— Jeszcze chwilusię porobię, pół lokietka ino... A ty składaj wełnę. Na dziś dosyć.

Dziewczyna podskoczyła z radości. Przez okno zobaczyła inne dzieci, ślizgające się z górki, więc pobiegła do nich.

A babka dalej wystukuje swoją pieśń życia. Czasem jej myśl oderwie się od tych nitek, przebiegnie minione lata, zatrzyma się nad tym, co było w życiu radosne, choć krótkotrwałe, a co pełne trudu i walki. I choć tego wesela nie było wiele, warto się przy nim zatrzymać, przypomnieć... Co, znów się nić urwała?

Babka się złości, bo pracę przerwać musi, a jej się śpieszy. Naprzyjmowała roboty od ludzi, a kto wie, czy do wiosny wykończy. Więc nie dziwota, że musi się śpieszyć. Wiosna już za pięćmi.

Wiosna!

Wszystkie kłopoty maleją i nikną. Babka nie narzeka, a Hanka wełny nie skubie. Radosna zmiana. Pochylone nad warsztatem plecy babki grzeją się przy wiosennym słońcu. Bury kot bawi się na podłodze nitką z ostatniego motka.

A potem tysiące spraw innych. Warsztat tkacki idzie na strych, a babka gałęzią choiny wymiata zimowe kurze. Dziadek otworzył okno na oścież. Do izby wpada świeży zapach gór i wiosny.

Babkę jakby oczarował ten dzień. Kręci się, biega, a wszędzie ją słyhać, choć wcale nie jest zła. Po prostu króluje.

— Hanuś, kraj ziemniaki do sadzenia! Dziadek, ruszaj do kuźni! Zawczasu trzeba naostrzyć brony i plug. Uwijajcie się! Wiosna!

Hanka jakby nie słyszała. Babka o tym, a ona o czym innym.

— Babko, już bażki złością się na olszynach! Widzieliście? Babko, szpaki na gruszy za stodołą się ścięla!

Babka choiną odpędza ją do roboty. Do krajania kartofli wzięła się sama, a dziewczynie kazała przebrać zboże z kąkolą i stokłosy.

Więc Hanka musi sięść za stołem, rozsypywać po garści nikle ziarno i wybierać nasiona niepotrzebne. Na stole pełno słońca i złotych ziarn. Hance jest bardzo przyjemnie siedzieć w tym słonku. Drobne paluszki latają po ziarenkach, a wzrok każdemu błogosławi. Żeby pięknie wyrosło i plon wydało dobry. Bo chleba dużo trzeba. Na cały rok.

Cała więc tętni robota. To w kuźniach wala młoty i ostrzą się plugi. W każdej chalupie kobiety wesolo sobie gwarzą przy krajaniu ziemniaków. W rękach miga nóż, a do koszów spadają półówki, éwiartki — byle z oczkiem. Bo w tym oczku kryje się cała tajemnica życia.

W. Dąbrowska

# Muszka mała

## smacznie spała...

Za tapetą, pod powalą  
muszka smacznie spała.  
Jak jesienią się zdrzemnęła,  
do maja by dociągnęła,  
gdyby nie to, że...

— O, Boże!  
Co to? Idź precz stąd, potworze! —  
Straszny leb spogląda ku niej...  
Sześć nóg krzywych do niej sunie...  
— Mój pajaku, zlitujże się!  
Zjesz mnie — cóż ci to przyniesie?  
Jestem chuda, same kości...  
Brzuszek mój od wrześnie pości.  
Na to kosmacz ślinkę lyka:  
— Jaka jesteś, w to nie wnika.  
Jedno tylko teraz wiem:  
Jestem głodny, więc cię zjem! —  
Ach! — krzyknęła muszka z siłą  
i... ze snu się obudziła.  
Oczy łapką wnet przeciera:  
Gdzie ten wróg, co groził nieraz?  
Gdzież ten pajak, gdzie niecnota,  
który muszki w siatkę mota?!

...Nie ma wroga!... Ach, jak miło!  
— Więc to mi się tylko śniło! —  
I z radości, że straszyla  
nie ma przy niej, fik! i skrzydła  
prostuje, skacze po ścian bieli,  
rozgląda się coraz śmielej...  
— Ach, jak ciepło! Wiosna przecież.  
Trzeba prędzej na dwór lecieć! —  
Już na szybie muszka siada,  
co na świecie slychać, bada...  
A za oknem:  
zima, mróz, śnieg sypie w oczy.  
Muszka myśli: — Co się stało?  
Któż to sypie mąkę białą?  
Cała ziemia ubielona...  
Gdzież to trawka jest zielona?  
— Brr... Jak zimno! Brr... Mam dreszcze!  
Chyba na mnie nie czas jeszcze!  
Wrócę nad piec, pośpię nieco,  
zanim ptaszki z wiosną zlecą.  
I znów siedzi pod powalą.  
Pewnie prześni zimę całą...

Elżbieta Lipińska

# Przygoda Tomka

Popadało, zaśnieżyło,  
taki to już marzec.  
Potem słonko zaświeciło  
w wróblęcym rozgwarze.

Ćwiru, ćwiru, zaćwierkały  
nad małym strumykiem,  
swe skrzydelka obmywały  
z głośnym pluskiem, krzykiem.

Wyszedł kotek na ganeczek,  
w słonku sobie stanął;  
myje skórkę swych łapeczek  
jak co dzień, co rano.



Przybiegł Tomek, ma ochotę  
z Murkiem się pobawić:  
muru, miau i skok na płotek,  
chłopca samego zostawił.

Patrzy Tomek, oj, jak nudno,  
co tu z sobą począć.  
Ach, już wiem: tą rączką brudną  
brudzę skórkę kocia.

Jest już w domu, myje siebie  
w wodzie cieplej i pianistej —  
Znalazł ręcznik, już ma grzebień:  
chodźże, kotku, ręce czyste!

Franciszek Grott